

Gdyby tak można było zajrzeć na dno jej duszy, z pewnością byłoby się znalazło tam ubolewanie, że kuzynkowi nie przyłożyła wcześniej do ust chustki z chloroformem. Teraz dopiero zrozumiała, kto był owym kuzynkiem. Wyprostowała się, zebraawszy wrodzoną sobie energią, podniosła głowę do góry i spokojnie mówić zaczęła:

— Jestem zgubiona. Czyńcie ze mną, co się wam podoba. Jestem Eliza Schwartz. A teraz dowieście się, czem byłam przedtem.

Gdy byłam niemowlęciem, porwali mnie cyganie. Nie znając rodziców, ani nazwiska, wyrosłam wśród cygańskiej bandy i z nią wiodłam życie koczownicze. Czułam się bardzo nieszczęśliwą; zazdrościłam ludziom spokojnego życia i stałego mieszkania; pragnęłam wyrwać się od tych ludzi, do których nie tylko przywiązać się, ale nawet przyłączyć nie mogłam.

Zdarzyło się pewnego razu, żeśmy rozbili namioty w pobliżu wspaniałego pałacu na Węgrzech. Liczne towarzystwo wyszło z pałacu ku naszemu obozowi, aby zabawić się cygańskim wróżbiarstwem.

W gronie owych osób była bogata pani z Francji, która przybyła w odwiedziny do krewnych na Węgry. Zobaczywszy mnie, z dziwnym zainteresowaniem wpatrywała się we mnie, a potem kupiła, zapłaciwszy dość znaczną sumę cyganom. Pojechałam z nią do Paryża. Pani moja kazała mi kształcić, zajmowała się mną po macierzyńsku. Zaczęłam nabierać szlachetniejszych popędów ku dobremu, z chciwością czytywałam książki, zajmowałam się muzyką; budzić się zaczęło we mnie pragnienie uczuć religijnych, wstępowałam na drogę, po której się zdąży do stanowiska uczciwej kobiety. Na nieszczęście trwało to tylko przez trzy lata.

Ta zacna osoba, która mnie po macierzyńsku kochała i do której uczuwałam jakieś dziwne dziecięce przywiązanie, umarła nagle.

Majątek zabrała jej rodzina, a mnie ofiarowano kilkaset franków i oddalono. Młoda, niedoświadczona, znalazłam się bez przyjaciół, bez opieki na paryskim bruku, nie wiedząc, co począć.

Padłam wnet ofiarą, jak wiele innych, ofiarą wyuzdania wielkiego miasta. Zwabiono mnie podstępnie do domu rozpusty. Zrazu czułam się nieszczęśliwą, chciałam się życia pozbawić, ale wnet porwana wirem namiętności, zatraciłam wszystko, co pod opieką tej zacnej opiekunki kłówać we mnie zaczęło i stałam się rozkosznicą z upodobania. Owładnęło mną pragnienie zbytku. Pożerała mnie żądza złota, strojów i życia wystawnego. Powodziło mi się bardzo dobrze. Zostałam zupełnie samodzielną, urządziłam sobie wykwintne mieszkanie i w niem zbierałam złoto i hołdy milionerów. Tu poznałam mnie stary bankier z Londynu, Schwartz.

Zakochał się we mnie, szalał za mną i zapragnął się ożenić. Spodziewałam się, że, zostawszy żoną milionera, będę mogła w całej pełni używać przyjemności życia, więc zgodziłam się na małżeństwo i zostałam Elizą Schwartz. Siostra mojego męża nienawidziła mnie, podejrzewała, a mąż okazał się takim skapcem, że mi odmawiał upragnionych strojów, żałował nawet takich przyjemności, jak teatru, koncerty. Prześladował mnie szkaradną zazdrością; pozostawałam wciąż pod strażą jego siostry. On chciał, abym była taką kobietą, jakimi bywają zwykle żony poważnych ludzi, oddaną tylko domowi i mężowi. Dla mnie było to niewola, więzienie. Przez dwa lata cierpiałam, zmuszając się do wytrwania, aż wreszcie zabrakło mi cierpliwości i postanowiłam uciec. Ale uciec z gołymi rękami i skazać się na nędzę i na niepewność życia nie mogłam.

Pewnej nocy wyjęłam mężowi z pod poduszki klucze od kasy; już miałam się z niemi oddalić, gdy nagle budzi się i chwytając mnie silnie za rękę. Widząc, że mogę być zgubiona, chwyciłam drugą ręką za sztylet i wbiłam mu w skroń tak, że padł martwy bez jęku. Wychodzę z sypialnego pokoju i zdążam ku pracowni męża, gdzie była kasa. O-

twieram, siagam ręką do wnętrza, a w tej chwili staje przedemną siostra mojego męża, ze świecą w ręce i mierzy mnie nienawistnym, pogardliwym spojrzeniem. W sekundzie padła trupem, uderzona w skroń, zabarwionym krwią brata sztyletem.

Zabiłam ich dwoje, okradłam i uciekłam do Paryża. Czarne włosy zabarwiłam sztucznie na jasne, wiodłam życie skromne w ukryciu, marząc o tem, aby pokochać i przez miłość stać się uczciwą kobietą. Poznałam w Paryżu Artelveltda; ukochałam go całą potęgą pierwszej, nieznanej dotąd miłości. Zdawało mi się, że i on pokochał mnie również gorąco. Wiedząc że bogaty, że należał do najpiękniejszych sfer towarzyskich, lekałam się bardzo, czy zechce ożenić się ze mną. Z tego niepokoju, z tych obaw uwolnił mnie szczęśliwy przypadek. W Paryżu bawili państwo Durandowie, przybywszy tu z Ameryki, aby podróżą ukończyć żal po stracie jedynej córki. Zdarzyło się, że siedziałam obok nich na koncercie. Uważałam, że pani Durand z jakimś zdziwieniem i rozculeniem na mnie spoglądała, dosłyszałam nawet, jak szepnęła mężowi:

nie wątpiłam, że się ze mną ożeni, skoro zostałam dziedziczką milionerów.

Dowiedziawszy się, że Arteveld ma się żenić z Leonorą Armyn, usiłowałam go od tego powstrzymać wszelkimi sposobami; udałam się też do jego narzeczonej, a ta mi oświadczyła, że ją tylko śmierć od narzeczonego rozdzieli. Postanowiłam zemścić się skrycie. Nie będąc na weselu, nie wiedziałam, co się tam stało. Gdy światła już pogasły i cisza w willi nastąpiła, weszłam przez sąsiednią, pustą willę, do której miałam dorobione klucze, otulona ciemnym płaszczem i dostałam się oszklonym gangiem do mieszkania Arteveltda. Nadsłuchuję: cisza zupełna, a więc śpią. Zgasłam świecę i po ciemku wchodzę do sypialni. Przy łóżku dostrzegłam na szafeczce biały wieniec. A więc to ona na tem łóżku. Nachyliłam się, ale twarzy dojrzeć nie mogę; wysuwam palce, dotknęły skroni, uniesiona żądzą zemsty, tracę prawie przytomność i wbijam sztylet w tę skroń, przekonana, że od mego ciosu zginie Leonora. „Tylko śmierć od niego mnie rozdzieli“ mówiła wtedy do mnie i śmierć ją też rozdzieliła, a Frank będzie znowu moim. Z tem uczuciem wróciłam do domu. Gdy mi nazajutrz opowiedziano o wszystkim, ogarnęła mnie rozpacz, bo ja mojego Franka zabić nie chciałam, bo ja jego kochałam, bo ja bym mu własne życie oddała w offerze. Wtedy chciałam się wyrwać z tego miasta, z tych stosunków, ogarnął mnie jakiś szal niszczący, jakaś żądza zabijania i oto wyjaśnienie owej trucizny, zadawanej tej zacnej kobiecie, która mnie za córkę przyjęła.

XXVIII.

Zakończenie.

Wieczorem tego samego dnia zdążył Stuart do Duranda i kiedy już skręcał w pustą zwykłą ulicę, przy której była willa Durandów, wyskoczył nagle ku niemu jakiś silny człowiek i rzucił się na niego ze sztyletem. Równocześnie ktoś inny chwycił napastnika za rękę, aby mu sztylet wydrzeć, lecz w szamotaniu się z nim, sam otrzymał pchnięcie sztyletu i runął skrwawiony na ziemię. Tymczasem Stuart dobywszy rewolweru, położył trupem napastnika. Schyliwszy się, poznał Bradmardina. Nie troszcząc się o zabitego napastnika, zwrócił się ku ranemu i z przerażeniem zobaczył, że to był Ferrars. Szybko wezwał pomocy. Ktoś z przechodniów pospieszył po lekarza, ciężko ранego Ferrarsa przeniesiono do domu Durandów. Zwłoki Bradmardina zabrała straż policyjna.

Ferrarsa otoczono najtroskliwszą opieką; wezwano najznakomitszych lekarzy, przy łóżu chorego czuwała Leonora na przemianę z Kate Scaton, a Stuart prawie na chwilę go nie opuszczał. Przez dwa tygodnie walczył ranny ze śmiercią, aż wreszcie silna, zdrowa natura i gorliwa pomoc lekarzy odniosły zwycięstwo.

Pewnego dnia, gdy już ranne było mówić, Stuart przysunął się do jego łóżka i spytał ze łzami w oczach:

— Czem ja zasłużyłem sobie, żeś chciał swe życie poświęcić dla mnie?

— To było moim obowiązkiem — odpowiedział Ferrars.

— Obowiązki przyjaźni nie sięgają aż tak daleko, by z życia swego uczynić dla przyjaciela ofiarę.

— Szczęśliwy jestem, że mówić mogę, że mówić mi wolno. Chciałem ci to wcześniej powiedzieć, ale nie było sposobności, albo raczej nie miałem może odwagi. Teraz ci powiem, ale niech to zostanie tajemnicą między nami, a zwłaszcza niech o tem nie dowie się Leonora. Baronet Sir Hirary, dziadek Leonory, miał młodszego brata, a ten był moim ojcem, lecz matką moją była prosta wieśniaczka i noszę nazwisko matki a nie ojca. Ojciec Leonory, acz znacznie starszy, wypadł mi bratem stryjecznym. Wiedział o moim pochodzeniu i chociaż nie miałem nazwiska, nie gardził mną, a gdy mój ojciec, opiekował się mną, po ojcowsku i prawie jak ojciec, lub jak brat starszy ze mną się



Stuart dobywszy rewolweru, położył napastnika trupem.

„Jakżeż podobna do naszej ukochanej Laury“. W kilka dni potem weszłam do jednego z magazynów, po jakiś sprawunek i zobaczyłam w nim panią Durand. Ona mnie także spostrzegła i spojrziała z taką dziwną tkliwością, że od razu wpadło mi na myśl, aby zawiązać rozmowę. Sposobność zaraz się nastąpiła, bo pani Durand mówiła słabo po francusku, a w magazynie nie było o tej chwili tych osób z personelu, któreby po angielsku rozmówić się mogły. Zbliżyłam się do pani Durand uprzejmie i prosiłam o pozwolenie służenia jej za tłumacza. Zgodziła się na to nawet z radością, widocznie zadowolona, że ze mną rozmawiać może. Po załatwieniu sprawunków pani Durand prosiła mnie, abym jej wskazała jeszcze kilka innych magazynów, w których coś kupić zamierzała, a wreszcie abym ją odprowadziła do domu. Tym sposobem zawarłam znajomość z tymi ludźmi, opowiadałam im bardzo kwieciście o różnych zmyślonych tragediach mego sierociego żywota, ujęłam ich sobie tak dalece, że mnie adoptowali. Niedługo potem wyjechałszy do New-Yorku, a tym samym statkiem popłynął też i Arteveldt. Durandowie znali go bardzo dobrze, więc w ciągu całej podróży był naszym nieodstępnym towarzyszem. Teraz już